NIEDZIELA
TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 20 Katowice, 22-go maja 1932

Na uroczystość św. Trójcy.

EWANGELJA

zapisana u św. Mateusza, rozdz. 28, w. 18—20.

W on czas: Mówił Jezus do uczniów swoich: Dana Mi jest wszelka władza na niebie i na ziemi. Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, nauczając je, by przestrzegały wszystkiego, cokolwiek wam przykazałem. A oto Ja jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata.

NAUKA.

Bardzo to krótka ewangelja niedzieli dzisiejszej. Tylko 3 zdania. Są to właśnie owe 3 ostatnie zdania, któremi najszczęśliwszy, bo najwięcej czytany historyk, genjalny ewangelista św. Mateusz, kończy wspaniały życiorys Pana Naszego Jezusa Chrystusa! O co chodzi w tej ewangelji? O zdobycie świata dla Jezusa.

I. Zdanie pierwsze: Legitymacja.

II. Zdanie drugie: Rozkaz mobilizacyjny: **Idźcie!**

III. Zdanie trzecie: Nie przegracie, bo ja jestem z wami!

Pierwsze zdanie: Oto mój paszport, moja legitymacja. Kim jestem, Jestem tym, który umarł, został pogrzebion, zmartwychwstał i na niebiosa wstąpił. Jestem tym, który ma wszystką władzę, jaka istnieje na ziemi lub na niebie. Jestem tym, który nie zna słowa: Niemożliwe!

Drugie zdanie: A oto teraz, kiedy pokazałem wam legitymację, ja, mający wszelką władzę, dają wam rozkaz: Idźcie!

Otwierają się naoścież bramy świata. Spełnia się dawne proroctwo: Dziesięciu mężów uchwyci poły izraelczyka i powie: pójdziem z tobą, bo z tobą jest zbawienie. Przychodzą (poganie) z wschodu i zachodu i siadają przy jednym stole z Izaakiem i Jakóbem. Znika z horyzontu Jerozolima, a zjawia się Watykan. Ginie Babilonia. Nadchodzi Świat Nowy! Idźcie więc do narodów wszystkich! Żadnego nie przepuszczajcie! Oto mój rozkaz mobilizacyjny!

Gdziekolwiek zaś pójdziecie, w jakimkolwiek wieku, do jakiejkolwiek ziemi lub jakiegokolwiek plemienia, pamiętajcie, że 3 nakładam wam zobowiązania: 1. Nauczać. 2. Chrzcić. 3. Umoralniać!

Nauczać biblji i katechizmu! To starczy, by ochrzcić! Chrzcić zaś w Ojca, Syna i Ducha Św. imię! Ażeby wszyscy w jeden sposób ochrzczeni **jedno** byli. **Jedno** byli w Ojcu i Synu i Duchu Św. jaki i **my trzej jedno** jesteśmy! Jako ja jestem w Ojcu **jedno** a Ojciec jest ze mną **jedno!**

A po nauce i chrzcie św. nie mniemajcie, że już spełnione zadanie. Przeciwnie teraz dopiero trzecie, najtrudniejsze i najżmudniejsze zaczyna się zobowiązanie: **umoralniać!** Teraz kończy się szkoła nauki, a rozpoczyna się nauka życia. Ta druga trudniejsza aniżeli pierwsza! Szkoła życia uczy chować przykazania moje. Nie wedle wyboru własnego, wedle swego,, widzi mi się". Szkoła życia uczy chować **„wszystko,** com kolwiek wam przykazał". A więc uczy nie tylko nie zabijać, ale i nie cudzołożyć! Nietylko nie kraść! Ale i lichwy nie uprawiać ani nie dopuszczać do inflacji i fałszywych nieprawych nie wypuszczać akcji. Nietylko dbać o chleb dla siebie, ale i bliźniemu uczciwy zostawić zarobek! Moja szkoła życia zakazuje oglądania się samolubnego na siebie lub na „osobę"! Moja szkoła życia każe wam starać się o warunki społeczne, umożliwiające życie chrześcijańskie.

„Panie! Jakże podołać takiemu zadaniu, jakże przemierzyć ziemię od bieguna do bieguna! Z metropolji świata do dziewiczego lasu! Jak pokonać morza i siódme góry i siódme rzeki? Mówić przykazanie do małych i do wielkich! Do robociarzy i do monarchów! do profesorów i prostaczków? O Panie, czyż jest kto na świecie, ktoby podołał zadaniu takiemu?"

A oto odpowiedź w zdaniu trzeciem, (w tem zdaniu, które zarazem jest ostatniem zdaniem całej Mateuszowej ewangelji):

Czy wam nie mówiłem? Ja, któremu wszelka władza dana jest na niebie i na ziemi, ja wam mówię: Jestem z wami po wszystkie dni! A skoro jestem z wami, cóż potrzebujecie się trwożyć?

Straszne skutki rozwodów.

Na pewnem zebraniu w Chicago, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, generalny zarządca więzień Mr. S. Bates oświetlił zagadnienie przestępstw wśród młodzieży Stanów Ziednoczonych. Oto przytoczone przez niego liczby:

Osiemdziesiąt pięć procent wszystkich zbrodni, ukaranych przez sądy Stanów Zjednoczonych, popełnia młodzież w wieku od 15 do 25 lat. Jest to cyfra zastraszająca, która każdego musi pobudzić do zastanowienia się. Bo przecież nie zawsze tak bywało, by bez mała w dziewięciu dziesiątych młodzież czyli t. zw. nadzieja społeczeństwa była wykonawcą zbrodni. To są dopiero owoce ostatniego dziesiątka lat. A właśnie Stany Zjednoczone nie mogą podać wojny za przyczynę tego smutnego stanu; bo działania wojenne ani na chwilę nie zajrzały do ojczyzny Washingtona. Liczba ludności, zaciągiętej pod sztandary wojenne, była znikomą. Ani głód, ani niedostatek również nie dokuczały ludności amerykańskiej.

Źródła złego są wielorakie. A według statystyki najważniejszem źródłem są rozwody rodziców; bo na 500 młodych zbrodniarzy trzysta sześćdziesięciu pochodzi z małżeństw rodziców rozwiedzionych.

Niemal ctery piąte przestępstw to pośredni skutek rozwodów. Na ten smutny fakt nie zwraca uwagi jakiś „klerykał", lecz podkreśla go uczony i fachowiec w sprawach badań przestępczości. Nie są to luźne spostrzeżenia, lecz nieomylna i nieubłagana wymowa cyfr.

Z ust zwolenników rozwodów nieraz słyszy się zdanie: czy złe pożycie rodziców nie jest dla dzieci równie złą szkołą charakteru, jak rozwód tych rodziców? Odpowiedź na to pytanie daje samo życie, które pokazuje, że nawet przy najgorszem pożyciu rodziców dziecko nie zostaje tak zaniedbane jak przez rodziców rozwiedzionych. Złe pożycie rodziców może być ciągłem przedpiekłem, nieprzerwanem pasmem kłótni i swarów; ale praktyka życia pokazuje, że nawet tacy rodzice dbają w pewnym stopniu o swe dzieci; nie znoszą, by dzieci były głodne; troszczą się o to, by były odziane i chodziły do szkoły, napominają je. i nie dopuszczają, aby w dzieciach rozwijały się popędy do kradzieży, oszustwa i t. p. Często nawet rodzice, źle z sobą żyjący, a zwłaszcza matki, mocniejszemt uczuciem wiążą się z dziećmi, które w smutnym dramacie życia są wtedy dla nich a zwłaszcza dla ich serca jedyną niejako deską ratunku.

Tego wszystkiego są pozbawione dzieci, gdy ojciec wskutek rozwodu zakłada sobie nową rodzinę, a matka wychodzi zamąż za innego. W duszy dziecka następuje wtedy okropne zamieszanie: z jednej strony ma ono ojca i macochę, a z drugiej matkę i ojczyma, a czasem jeszcze drugą macochę i drugiego ojczyma, a nikt się już nie troszczy o dzieci z pierwszego małżeństwa. Przychodzą przyrodnie siostry i bracia, przyrodnie nie przez wdowieństwo czy to matki lub ojca, lecz przez rozwód, jeden albo kilka po kolei. Dziecko „pramałżeńskie" coraz dotkliwiej pozostaje poza nawiasem zainteresowań wychowawczych „prarodziców", coraz bardziej pozostawione sobie i swemu smutnemu losowi. Skutek jest ten, że dziecko idzie na bezdroża i bardzo często staje się zbrodniarzem. Takie są skutki rozwodów.

Gdy mówimy niedowiarkom, że małżeństwo katolickie jest sakramentem, a więc rzeczą świętą, i dlatego nie może być rozwiązywane przez władze świeckie, wtedy nie chcą tego zrozumieć i wysławiają rozwody jako wielką zdobycz postępu i demokracji. Lecz czy powyższe liczby nie pokazują już tylko z ściśle społecznego, świeckiego punktu widzenia, że świętą rzeczą, jaką jest małżeństwo, frymarczyć nie można?

Nie można zaprzeczyć, że nawet dziecko zamożnych rozwiedzionych rodziców, zwłaszcza jeżeli jest moralnie i uczuciowo wrażliwe, wstępuje w życie z duszą już wypaczoną, chociaż zamożność, nabyte wykształcenie i wychowanie ochronią go przed wykolejeniem. Lecz co się stanie z dziećmi rodziców ubogich a rozwiedzionych, które bez wychowania idą w życie? Wstrząsającą na to odpowiedź daje nam statystyką Mr. Bates'a: cztery piąte zbrodniarzy, to synowie rodziców rozwiedzionych.

Oby to sobie wzięli do serca i zastanowili się nad tem ci, co chcą Polskę unieszczęśliwić rozwodami.

W niewoli bisurmańskiej.

Wśród ponurej nocy dumał w podziemiach więziennych w Jedykule, obok Carogrodu leżących, bohater polski — Samuel Korecki. On — zwycięzca Turków — teraz dźwigał ich kajdany. I wśród ciszy nocnej zadumał się, przypominając swe dzieje.

Kiedy w r. -616 najechał wraz z księciem Wiśniowieckim Multany i Wołoszę, a po pięciodniowej walce, zdradą pojman, dostał się do n: woli. Wołosi wydali go Turkom, w zamian za udzieloną pomoc. Gdy o uwięzieniu Koreckiego dowiedział się sułtan, kazał odważnego Lacha przed się przyprowadzić. Ujrzawszy go, zapytał od kogo dostał pozwolenie najechania jego krajów.

— Mnie jako szlachcicowi nikt nie może pozwalać lub zakazywać! U mnie jam tylko panem! — odrzekł dumnie Korecki.

Wtedy sułtan jął go namawiać, by ugiął karku przed Mahometem, za co zostanie wolnością obdarzon. Lecz otrzymał odpowiedź, że Korecki nigdy nikomu kłaniać się nie będzie.

Gniewem uniesiony, wskutek tej odpowiedzi, sułtan każe Samuela wtrącić w najpodziemniejsze więzienie — ale ten, przekupiwszy straże, uchodzi cało. Po ucieczce składa Bogu dzięki za cudowne ocalenie; udaje się do Włoch, do Loretto, aby tam Matce Najświętszej podziękować za szczęśliwą ucieczkę, a prosić o opiekę na przyszłość. Z Włoch wraca do Ojczyzny, wraca jakoby gość z za świata. Tu, między swymi niedługo bawi. Sędziwy bowiem hetman, Stanisław Żółkiewski, z 10.000 wojska polskiego udaje się (1620 r.) za Dniestr, aby nawałę turecką powstrzymać.

Korecki nie zostaje w tyle za innymi: on udaje się tam, gdzie go Ojczyzna woła. Walczy obok hetmana pod Cecorą — lecz nieszczęśliwie, po raz wtóry dostaje się w ręce śmiertelnego wroga. Okryty ranami, dźwigając ciężkie kajdany, patrzył na walkę Żółkiewskiego, który, wsparty na ramionach syna i synowca, bronił się dotąd, dopóki miecz dzierżył w ręce. On widział własnemi oczyma tę chwilę, w której głowę hetmana włożono na żerdź i obnoszono po całym obozie!...

O! jakież myśli musiał przecierpieć, gdy widział hańbę narodu swego?...

A czemuż on nie zginął przy hetmanie, czemuż ziemia cecorska nie objęła swemi ramiony ciała i ducha bohatera?...

Widać, Opatrzność inaczej zrządziła...

Czyż ujrzy on kiedy swą ojczyznę, czyż ujrzy on kiedy łany polskie, posrebrane żytem, pozłacane pszenicą, czyż ujrzy on kiedy swą rodzinę?... Czyż znajdzie grób w ojczyźnie, w Polsce?...

Tak dumał Korecki, na żelazistej sparłszy się dłoni.

Noc była ciemna, ponura. W więzieniu cmentarna cisza i spokój niebiański. Wiatr nieco przycichł, tylko w dali szemrał Bosfor swe żale, szumiał falami i uderzał w podziemia tak, iż się zdawało, że całe podziemie woda zaleje...

Nagle... nagle zda mu się jakby promyk błysnął! Światełko?! Złudzenie czy rzeczywistość?!... Nie on się myli! Słychać kroki, tak ktoś idzie... Co niesie: wolność czy śmierć?...

Zamki zachrzęściły. Wchodzi czausz sułtana, oznajmia mu wolność. Grom uderzył w Samuela. Tygrysi swój wzrok wbił w serce czausza... Czegóż się wysłannik trwoży, waha?... Zdrada! Korecki zdradę wyczytał. Nie rzecze ani słowa, stąpa naprzód. Już ma próg więzienny przekroczyć, gdy czuje na szyi pętlicę. Zbladł, a usta wyszeptały króciuchną modlitwą:

— Królowo Korony Polskiej! nie daj marnie zginąć słudze Twemu!

Czuje w sobie siłę lwa. Pięścią powala najbliżej stojącego Turka i zdobywą miecz. Napróżno zgraja ku niemu przypada: on nie zna trwogi! Wszystkich do stóp powala. Olbrzym czyliż niezwyciężony?

Na krzyki przypadają drudzy, niosąc żelazne drągi. Lecz na nic wszystko: Samuel nie zna trwogi! broni się ciągle! Wtem nóż, jedyna jego broń, wypada z ręki — on nie daje za wygraną: szarpie, gryzie i znów kilku zalega podłogę więzienną. Już mu się nie dostaje. Oczy mgłą zachodzą — słania się — drży — och! jeszcze jednego — wtem raz w głowę i pada z roztrzaskaną głową.

Tak poległ nie zdradą, ni podstępem — ale od miecza, od żelaza poległ mąż żelazny, złamany — lecz nieugięty. **Jerzy Witliński.**

Prawdziwe zdarzenie.

Zabawne zdarzenie, o którem tu opowiem, wygląda na „bajkę" z dawnych czasów, a jednak jest ono prawdziwe...

Razu jednego pewien ksiądz proboszcz w towarzystwie jednego z gospodarzy, członka dozoru kościelnego, wizytował swą parafję, ażeby osobiście zbierać składkę na rozpoczętą budowę kościoła, gdyż nawiasem mówiąc, ciężko tam idzie z tą budową. Gdy więc dwaj „kwestarze" zjawili się w zagrodzie zamożnego gospodarza w jednej ze wsi parafjalnych, wyszła na spotkanie „kwestarzy" gospodyni i zastąpiwszy im drogę, zwróciła się do nich z takiemi słowy: „Najmocniej przepraszam księdza proboszcza, ale dziś nic nie damy, bo mojego niema w domu, a ja sama nie będę się rozporządzać".

— „Nie szkodzi — odparł ksiądz proboszcz — „wstąpimy jednak do was na chwilkę, aby spocząć trochę, bo dosyć już się zmęczyliśmy.

—„ A jakie straszne błoto!" — narzekał ksiądz proboszcz, wycierając połatane buty o leżącą na podwórzu słomę.

Nijak tedy nie wypadało gospodyni zatrzymywać „kwestarzy". lecz zaprowadziwszy ich do izby poprosiła, aby usiedli. Pogawędzono więc chwilkę jak zwyczajnie o kłopotach gospodarskich, a potem zabierali się „kwestarze" do odejścia, przyczem gospodyni, niewiadomo po raz który, zapewniała ich, że skoro tylko „mój" powróci, a dowie się, że ksiądz proboszcz „sam" przychodził po składkę na kościół, to napewno niezwłocznie sam również przyniesie ją na plebanję. Lecz w tem... towarzysz księdza proboszcza, czyli ów drugi „kwestarz" zauważył, że pościel na łóżku, które posłane było starannie i nakryte prześcieradłem, poczęła się niesamowicie poruszać, jakby „nie przymierzając" kretowina na łące...

— „Cóż do licha?" — spytał przerażony „kwestarz" — „łóżko wam się porusza!" — I powiedziawszy to, spojrzał z uśmiechem na księdza, a następnie na gospodynią, która zapłoniona zdawała się niczego nie rozumieć, lecz nie w ciemię bity „kwestarz" podszedł do łóżka, które jakby zajęczało... i bez wszelkich ceremonij wzniósł zeń pierzynę... O dziwy! — wszyscy obecni ujrzeli we własnej osobie właściciela zagrody, który mocno zawstydzony podniósł się czem prędzej z łóżka, gdzie widocznie skrył się (nakryty porządnie pierzyną przez swą poczciwą małżonkę) przed „kwestarzami", ale zarazem „nakrył się" nieborak, bo nie wytrzymał w dusznej kryjówce... Skompromitowany w ten sposób zamożny i poważany skądinąd gospodarz, ani próbował tłumaczyć się ze swojego przestępstwa, lecz pocałowaszy w rękę księdza, wydobył z kuferka sto złotych i wręczył je „kwestarzom" na kościół.

Ocaleni.

(Opowiadanie górnika.)

Robiliśmy we czterech na filarze. Górnikiem był stary Pogoda, — a my do pomocy. Nie bardzo nam się jednak z początku ta robota z Pogodą widziała, bo to człowiek choć uczciwy i pracowity — surowy był i mrukliwy, a przytem miał pełno dziwactw, jakeśmy to nazywali.

Wypadło nieraz w niedzielę lub święto, żeby roboty nie przerywać, tamę budować, albo kapę zakładać — tu już Pogody za żadne pieniądze nie uprosił, choć dniówka świąteczna podwójnie się liczyła — zaciął się i nie poszedł.

Przyszło po drabinach na dół schodzić, a szło się tego z pół godziny, — to Pogoda litanję odmawiał, a my musieliśmy odpowiadać. Dostał, bywało, nowy przodek, to ze starego obrazek „Panny Częstochowskiej" przyniósł i nim przystąpił do pracy, wieszał go gdzieś na stemplu i pacierz z nami mówił.

Gniewało nas to zawsze, bo każdy wolał przez ten czas skręcić papierosa, albo zbolałe kości wyprostować, ale sprzeciwu nie było...

Najgorsze jednak było to, że przykląć nie pozwolił. Na dole, wiadomo, jak na dole, nie poradzisz robocie, to przyklniesz i zda ci się, że pójdziesz. Wyrwało się któremuś czasem jakie słowo, to Pogoda wnet kilof odkładał i mówił jak na kazaniu:

— „Pod ziemią jesteś nędzny człowieku, a Bóg Wszechmocny co dzień cię Swoją mocą stąd z zdrowiem wyprowadza, jakże Mu możesz urągać?..., bacz aby cię tu na wieki w tej świętej ziemi nie pogrzebał. Bo nie wiesz jak schodzisz, czy wyjdziesz na światło Boże".

Niejeden czasem mu się i postawił, ale powoli przyzwyczaili się wszyscy i zdało nam się, że tak być powinno.

Raz, pamiętam, braliśmy „filar" na „dziewiątym". Węgiel był dobry, że i nastarczyć z „korowaniem" była bieda, a stary Pogoda wiercił tylko dziury i strzał szedł po strzale...

Ujechało się tak ze dwa metry i trza było budować, ale że drzewa na czas nie dostarczyli, a robota była pilna, to Pogoda tylko swój obrazek bliżej „przodka" zawiesił i wiercił dziury dalej. Kiedy jednak po ostatnim strzale „urwało" z dziesięć wozów, a nie było na co ładować — pokładliśmy się na ziemi, żeby odpocząć, ale Pogoda skoczył na nas jak oparzony:

— „Leżałbyś tylko jeden z drugim, a nad głową nie obudowane; ani „zipniesz" jak cię ta święta ziemia na zawsze przywali, że ani kości nie odszukają.

— Wiecie sami, że stempli nie dostarczyli, to i obudować niema czem — usprawiedliwiał się Szymek.

Ale stary Pogoda już klęczał przed obrazkiem, co go teraz lepiej na gwoździu umocował, i spoglądając na nas tak, że mimowoli zwlekliśmy się do „przodka" i przyłączyli do niego.

Nagle zajęczało coś strasznie, jakby strzał prze-

szedł górą, stemple zaczęły trzeszczeć i nim który zdążył zerwać się na nogi i pomyśleć o ucieczce — cały filar runął na ziemię. Posypały się kamienie, cały kurz poszedł do „przodka“, lampy zgasły i nastała taka cisza, że nikt z nas nie wiedział czy inni żyją...

Zasypało cały filar, — zostało tylko część „przodka“, gdzie wisiał obrazek Pogody i nas czterech klęczało.

I kiedy przyszedłem trochę do siebie, — choć czułem, że cały jestem — włosy mi dębem stanęły, że odwrót mamy odcięty. Filar miał z dziesięć metrów, jeżeli zasypało go na całej długości, to nim do nas „dobiją“ — zginiemy z głodu i bez powietrza.

Ale w tej strasznej ciemności i ciszy usłyszałem głos starego Pogody:

— „Nie bójcie się chłopcy, bo „Panienka Częstochowska“ jest z nami. Nie pozwoliła nam marnie zginąć, to i stąd nas litościwie wyprowadzi. Wiedzcie, że Jej to przyczyna, że wszyscy cali jesteśmy. Żeby nie Jej obrazek co go tu od niepamiętnych czasów pielęgnuję, — krwawa masa leżałaby z nas pod kamieniami.

— A teraz na kolana chłopcy!...“

— Przyznać się muszę ze wstydem, że nigdy przedtem tak szczerze i gorąco nie modliłem się, jak wtedy, w obliczu śmierci. Jak długo trwaliśmy w nieprzerwanej modlitwie — nie wiem.

Już coraz bliżej było słychać stuk kilofów z tamtej strony, co znaczyło, że koledzy idą nam na ratunek, a myśmy precz zanosili modły do „Najświętszej Panny“, — a każdy płakał jak dziecko.

I kiedy po odwaleniu ostatniego głazu ujrzeli nas zdrowych zamodlonych, choć się nas już żywych ujrzeć nie spodziewali — padli wszyscy na kolana i modlili się razem z nami...

A potem wszyscy trzej rzuciliśmy się całować ręce starego Pogody. Ten człowiek, z którego wszyscy prawie podrwiwali, — swoją wiarą i przywiązaniem do „Matki Częstochowskiej“, ocalił nam życie.

Dawne to już czasy, prawie będzie lat z dwadzieścia, ale człowiek do śmierci tego nie zapomni, a i dobrze to nieraz tym dzisiejszym „nędznikom“, co ich to pełno jest na świecie, — opowiedzieć, na przestrogę i opamiętanie... Na dole, jak na dole, wiadomo, człowiek nigdy nie pewny. **A. G.**

Mieszkańcy hałdy.

Gwiaździsty strop nieba unosi się w przejrzystej mgle nad lasem kominów fabryk, kopalń, nad miastem. Z małych okienek górniczych domów nie płynie złoty promień światła i nie kładzie się jasną smugą na okrytą śniegiem drogę. Wije się ona między temi domami — i odkąd razem z mroźną zimą przeleciała po niej, jak smętne widmo, mściwa i okrutna „nędza“ — zaglądając ciekawie pod każdą ubogą strzechę, posmutniała nieboga nad wyraz.

Noc w całym swym majestacie, odziana gwiaździstym płaszczem, roztacza nad nią piękności swoje...

Drogą tą zdąża gromadka ludzi. Ubiór ich lichy, potargany, z którego tylko strzępy zwisają.

Bezdomni są oni wśród wielkiego miasta. W tem morzu domów nie mogą znaleźć przytułku. Każdy się nimi brzydzi.

A tu zima ostra! Mróz tej nocy jest ostrzejszy i szczypie niemiłosiernie.

Wszyscy oni pragną ciepła, przy którem mogliby się ogrzać, zlodowaciałe swe członki ożywić i przepędzić noc bezpiecznie.

Przybytkiem ciepła będzie dla nich hałda, olbrzymi zwał szutru z szlaki. Ona jedyna może ich tej nocy przyjąć i ogrzać mile swem ciepłem.

Wszyscy przyspieszają kroku, by jak najprędzej przytulić skostniałe od zimna członki do ciepłem wiejącej hałdy.

Po chwili są już na miejscu.

Cała garstka nędzarzy przypada do ciepłego szutru, tuli się do niego i wkrótce zasypia snem ciężkim, kamiennym.

Nie wszyscy śpią.

Jakaś kobiecina z dwojgiem małych dzieci gawędzi. Maleństwa biedne, skarżące się przedtem na zimno, uskarżają się teraz na głód, który im dotkliwie dokucza.

— Mamo! daj chleba! — woła pierwsze.

— Mamo! daj chleba! — powtarza drugie, młodsze.

Kobiecie ukazują się łzy w oczach. Żal jej niewymownie biednych dzieci, które od wczorajszego dnia wraz z nią nic w ustach nie miały.

...Miesiąc minął, jak ją mąż, robotnik kopalniany, odumarł, pozostawiając dwoje małych dziateczek. Od tego czasu bieda wciskać się do niej zaczęła, jak to mówią „drzwiami i oknami“. Nie miała z czego żyć i zapłacić czynszu za mieszkanie. Niemiłosierny właściciel wygnał ją wraz z dziećmi. Musiała żebrać. Z chleba żebranego żyła, karmiła siebie i maleństwa. Od czasu do czasu wypraszała u miłosiernych ludzi dla dzieci ciepłą strawę. Dziś jej się nie poszczęściło. Ludzie, widząc jej natrętność, odegnali ją i psami wyszczuli.

Biedna matka stara się uspokoić płaczące maleństwa; chyli ich głowy ku ciepłym żużlom.

Dzieci zasypiają.

Ciężka głowa kobieciny opada obok jasnych ich główek i również zasypia.

Cisza grobowa!...

Z stygnącego żwiru wydzielają się jakieś obłoki; to gazy węglowe, pełne trucizny i jadu.

Przed hałdą staje jakieś widmo krwawe, z kosą w ręku... to śmierć. Ognistym wzrokiem spogląda na nieszczęsne ofiary i śmieje się szatańsko. Przy jej boku ukazują się inne widma.

Krwawa żniwiarka poczyna działać.

Gaz miesza się z spokojnym oddechem śpiących, wchodzi w płuca, w dusze. Oddech biednych ofiar staje się wolniejszy i charczący, aż wreszcie zupełnie ucicha.

Skonali!...

Odezwało się pierwsze pianie koguta, w ślad jego potem inne.

Słońce po swej nocnej wędrówce wyjrzało znowu na firmament niebieski i snop promiennych iskier rzuciło na ziemicę.

Nastawał dzień!

Budzili się z uśpienia mieszkańcy miast i wsi, budził się zwierz dziki w borze i wszelkie stworzenie.

Tylko ci, którzy są na hałdzie, pozostali nieruchomi.

Wczoraj byli jeszcze szczęśliwi z ciepła, teraz leżą zatruci gazem, martwi. Między innymi znalazły swój grób i biedne maleństwa, w stygnących ramionach matki.

O! biedniż wy ludzie !

Czyż niema na świecie serc litosnych?...